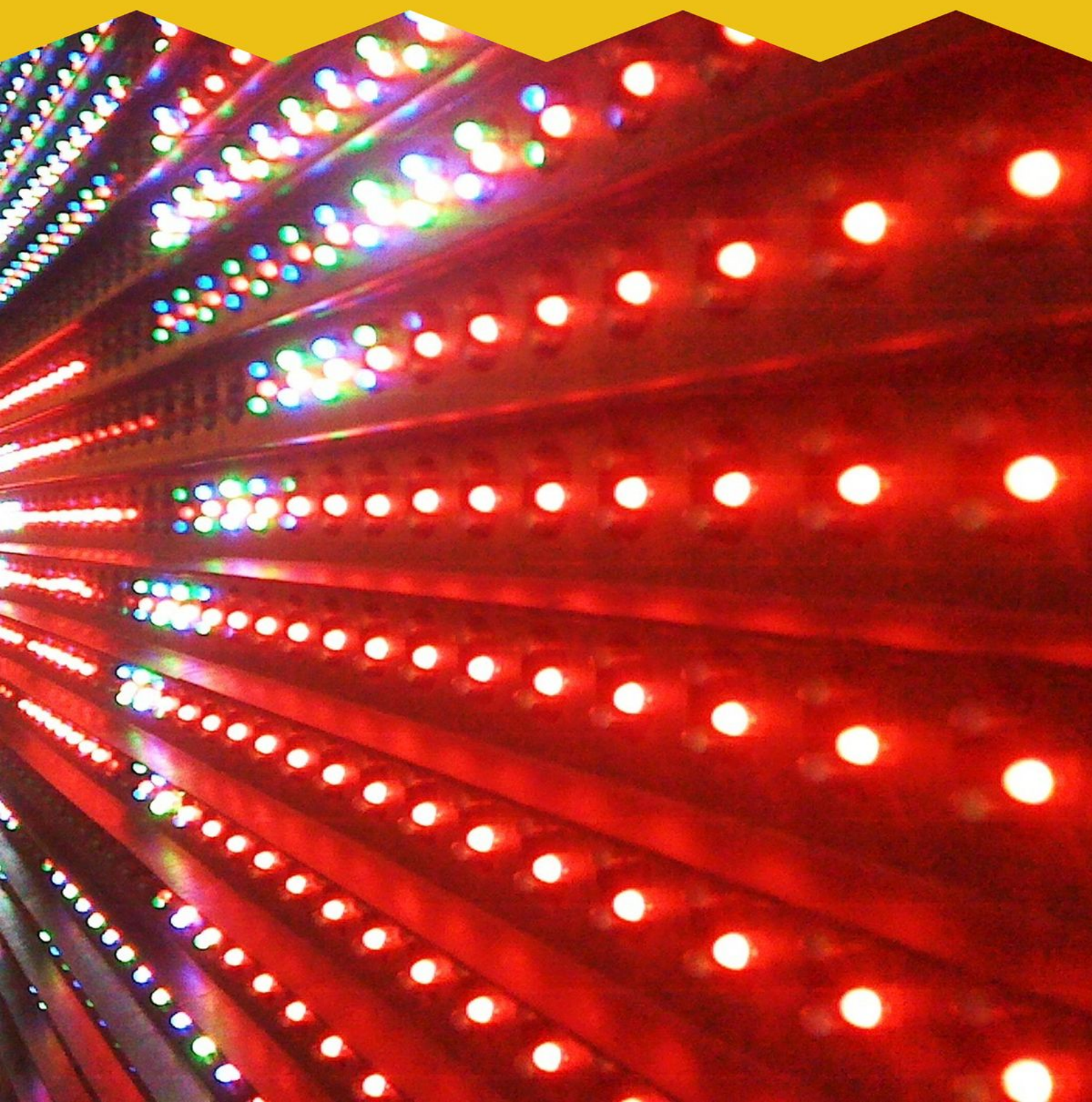


Hotel pod ideałem



FRANCISZEK MIRANDOLA

TROPY

Hotel pod ideałem

Z wysiłkiem niezmiernym, widocznie ostatkiem sił, wdzierał się pielgrzym po gładkich ostrych, uszligujących się pod zmęczoną stopą, na niebosięzną górę, największą spośród gór...

Wędrował długo... Mówiła o tym szata pokutna, postrzępiona, zwisająca w dziwacznych frędzlach u dołu, kij też mówił sękaty, pielgrzymi, o kolcu startym od walki z twardą skałą, także twarz brunatna od opalenia i ręce drżące nerwowo.

Teraz stanął... oddech mu zapało.

Zapatrzył się na opar mgieł tulących szczyt.

Usta szeptały modlitwę... której słów nie ma w żadnej, żadnej książce.

Serce jego mówiło:

— Ty... Ty Nienazwalny...

Ból go oprzytomnił... Słońce chyliło się do zachodu, nogi się pod nim uginały... ciało osuwało się na ziemię... Klęknął. Potem po krótkiej walce, mimo woli legł, niezdolny się ruszyć.

Patrzył wokoło.

Jakby się zapadł w ogromne jakieś głębie, świat znikł kędyś... przepadł...

Pod stopami pielgrzyma kłębiły się chmury białe, a tylko czasem, gdy wiatr zadął silniejszy, zjawiała się za chmurami skryta, szafirowa dał, w której domyślać się można było gór, rzek, miast i wsi.

Daleko to gdzieś tkwiło wszystko... tak daleko, że zdało się, można było, raz tu doszedłszy... wcale nie brać rzeczy onych w rachubę...

Niedostrzegalnymi stały się troski ziemi, jej radości, przesady, marzenia... ból... tęsknota nawet.

*

Pielgrzym poszukał na piersiach manierki z wodą.

Gorąca była... nieznośna, pragnienia nie gasiła, goryczy jeno w ustach przymnażając.

Połknął ją ze wstrętem.

Wiatr odślonił właśnie wielką połąć błękitnej dali.

Zarysowało się na tym tle jaśniejszą plamą morze, sino wystąpiły góry... ale i mowy być nie mogło, by dojrzeć coś więcej.

Szczegóły znikły, potonęły jak łódki maleńkie na ogromnym oceanie, a tylko bardzo wprawne oczy mogły śledzić upłaz samej góry, aż do jej podstaw.

Dla wielu, wielu, nieobdarzonych orlim wzrokiem, mimo że poranione stopy wymownie o tym świadczyły, wydać się musiało, że nic wyżu onego z ziemią nie łączy, że unosi się on w przestworzu, niby jej satelita, bliski jeno dlatego, iż mu wiekuiście prawa ciężyc kazały do globu większego...

Pielgrzym patrzył.

Oddychał teraz swobodniej, a głaz jakiś litościwy osłonił mu przed słońcem głowę.

Wszystko zdawało się szeptać:

Spocznij! Spocznij!

Choć chłodniej już było, gorączkę czuł jakąś wewnętrzną... piekło go w piersiach.

A nade wszystko głośniejsze wołało udęczone ciało:

— Spocznij! Spocznij!
 I powieki się spuściły na oczy.
 Podniósł je jeszcze raz przemocą.
 Chciał się modlić... ale miast tego, spojrział jeno w stronę, skąd przyszedł.
 Błogosławieństwo wyszeptał.
 I porwał go sen w objęcia.
 Widział się niby znów młodzieńcem na ławie szkolnej.
 Na wysokiej katedrze siedział chudy *doctor philosophiae* z ogromnymi uszami, które odstawały od głowy. Wyliczał na palcach punkty jakiegoś dowodu...
 — Po pierwsze.....no cóż... ha?
 Nikt jakoś nie wiedział, a profesor gniewał się bardzo.
 W uszach tętniło:
 — Po pierwsze... po drugie... po trzecie...
 W powietrzu gdzieś bardzo wysoko chwiały się palce profesora, sterczały jego niezmiernie uszyska.
 Dziwny to był, męczący sen... jakby kara za coś... tu... wśród drogi na szczyty...?
 Zbudził się o cudnym ranku i nie mógł zrazu poznać, gdzie jest. Całkiem już znikła wszelka łączność ze ziemią... chmury oddzieliły dwa te królestwa, legły morzem... zaprzeczyły oczom wszystkiego, co nie w górze... Tam zaś straszliwie było dziko, choć i niewymownie pięknie zarazem.
 Wichry wyżynne tak spolerowały skałę, że powyż¹ miejsca, gdzie stał pielgrzym, chyba na kolanach już iść trzeba było... wyżej jeszcze piersią musiałeś przyłgnąć do ziemi i przeciw się wzwyz rozpstartymi ramionami².
 Z wolna chmury się rozstąpiły. Pielgrzym stał i spoglądał na przecudne widowisko. Był tu jakby uniesiony na skrzydłach anielskich... stąd widział... mógł widzieć piękno ziemi.
 Mieszczące się w szczegółach.... fałsz, głupota.... dysonanse wszelkie, znikły. Z tych dali nie było widać mąjących harmonię zboczeń, tylko cudny.... wiekuiście wierny sobie rytm praw kierowników, podobny rytmowi fal morza...
 Stąd widziałeś, jako najwyższa wolność jest zarazem nieuchronną koniecznością, jako najszałeńszy rzut, najsilniejszy rozpęd woli człowieka jest konieczności tej jeno koniecznym drgnięciem, podobnie jak najwyższy szczyt Himalajów składową jeno częścią powierzchni ziemi, zgoła jej kulistego kształtu nienaruszającą.
 Stał zapatrzony w cudny widok, a wargi jego szeptały:
 — Dzięki Ci o NIENAZWALNY!
 Zachód się już czerwienił, gdy schyliwszy się po porzucony kij, spostrzegł w załomie skały dziwną postać.
 Bardzo podobny do oglądanego we śnie nauczyciela z lat chłopięcych, siedział tam w kucki człeczek czarno ubrany, z olbrzymią głową, wielkimi rękami oplótłszy kolana. Wpatrywał się bacznie w pielgrzymą, który zdziwiony, cofał się mimo woli, zasłaniając rękami.
 — Ach! Jakżeśmy wysoko! — ozwał się natręt: — Jakże wysoko! Hi... hi... hi... hi... hi...; ludzie całkiem już dojść nie mogą... i dlatego z ziemi przynoszę wieść... okrzyknęli cię wielkim... rozpisali konkurs na kantatę... zarezerwowali w Panteonie miejsce... Przysięgam! Nie widać stąd, ale... widziałem na własne oczy... no i cóż teraz?... Ha!... Zdaje mi się, żeś dość się narozmyślał nad nicością ludzkich głupstw... Jakież stąd wniosek praktyczny? Szaloną podróż może przedsięwziąć człek najmądrzejszy, ale z szaleństwa nie wyciągnąć korzyści... to potrafi głupiec jeno.
 — Popatrz no w górę... Wyżej po prostu żadna istota ludzka dostać się nie może... nie jest w stanie... przy tym tve zdrowie...
 — Idź precz! Idź precz! — krzyknął przerażony pielgrzym.
 — Słyszałem coś podobnego w dawnych czasach... bardzo dawnych... Ale ty nie posiadasz siły tamtego... o nie!... Dlatego usiądź tu oto... pogadamy rozsądnie. Nikt przecież nie widzi, nie słyszy... Tak... wysoko zaszliśmy... jesteśmy już ponad sądem ludzkim...

Interes, Kuszenie

¹powyz — dziś: powyżej. [przypis edytorski]

²rozpstartymi ramionami — daw. N.Im; dziś: rozpstartymi ramionami. [przypis edytorski]

powyżej ich opinii... hi... hi... hi... hi... hi... Ale do rzeczy! Owa świętość... tam na szczycie... ha! Wiesz sam dobrze, że świętość owa to legenda, piękna, wspaniała legenda! Nie sposób się dostać na szczyt, a nawet dostawszy się, nie znalazłbyś oczywiście nic! Więc nie ma się po co spinać. Ale wykorzystaj sytuację... to rzecz zgoła inna...

— Idź precz! — wykrzyknął raz jeszcze pielgrzym.

— Powtarzasz się... a pamiętaj... masz słuchacza... to niebezpiecznie...

Oszołomiony tą paplaniną, ulegając jakby jakiemuś wewnętrznemu³ przymusowi, pielgrzym usiadł, przerażone oczy utkwivszy w dziwacznej stworze.

— Doskonale! — wykrzyknął prześladowca. — Zaczynasz, widzę, zachowywać się, jak przystało na porządnego człowieka. Otóż najspierdół dowiedz się, że jestem ci życzliwy. Wbrew temu, co mówią o mnie tam... na ziemi... pasjami kocham ludzi... oczywiście osobniki śmiałe, jak ty, pociągają mnie przede wszystkim. Podczas gdyś trwał na pobożnych, czy jak właściwiej miemam, niepochlebnych dla swych ziomeków rozmyślniach... uplanowałem dla ciebie coś... ale to mówię ci... ...coś bajecznego! Posiadam ogromny dar orientowania się... toteż zaraz spostrzegłem, że można by zrobić świetny interes. Przystępuję do rzeczy. Wyobraź sobie ogromne towarzystwo akcyjne... kapitał wynosi... powiedzmy dwa miliony... Ty nie wpłacając nic... w zamian za tajemnicę... za pomysł... dostajesz tyle, a tyle akcji... no... i... powiedzmy... posadę dyrektora... co? Podobają ci się to?... Widzisz... nieźle to nawet brzmi... Pewnieś ciekaw, co dalej? Całkiem słusznie. Otóż byleś, myślę, w Szwajcarii... i wiesz, że najjałowsza góra może przynieść zyski... stokroć nawet większe jak potrójnej wielkości łąn najpiękniejszej pszenicy.

No, chyba mnie rozumiesz? Co tam długo gadać... trafia się rzecz nadzwyczajna... pomogę ci... zbuduj tu hotel.

Pielgrzym zerwał się ze ziemi. Porwał swój kij sękaty i machając nim, wrzasnął głosem wielkim:

— *Apage satanas*⁴! *Apage satanas*! *Apage*...

Ale czarnej postaci już nie było.

Ogromne, kilkunastopiętrowe gmachy „Hotelu pod ideałem” ledwo pomieścić mogły pielgrzymów i kuracjuszków, ledwo docisnąć się można było do sal gry, stołów biesiadnych i przystani, skąd łodzie motorowe ruszały w drogę okrężną po mistycznym jeziorze Ekstazy. Z dnia na dzień, rzec można, powstawały też nowe oddziały, tak, iż groziło, że zabraknie dla nich liter alfabetu. Afisze pokryły mury wszystkich dworców kolejowych świata całego, akcji nie można było dostać za podwójną nawet cenę, a o miejsca najdroższe dobijano się formalnie.

Pielgrzymka modną się stała, tylko odbywano ją teraz w tak ponętny sposób, że bardzo jeno niewielu pozostało przy dawnej lokomocji. Dziwacy ci, wytyczyli sobie inną rutę⁵, z dala od hotelowego liftu⁶ elektrycznego, ale widoczne było, że uczynili to jeno, by się oryginalniejszym wydać w oczach dam, bo raz po raz któryś się zjawiał w hotelu.

Doszło do tego, że dla wygody stron obu, ponad stromą „Ścieżką Pokutników” wzniesiono rodzaj werandy, skąd się idącym przyglądały damy. Jakiś Anglik zaprowadził tu totalizatora, ale dzienniki podniosły wrzask... no... i musiano go skasować. Zakładano się więc między sobą, a nie zdaje mi się, by „Pokutnicy” widzieli w tym coś złego.

Rojno było w hotelu od pierwszych zaraz dni, afisz dotrzymywał, co obiecywał, chwalał sobie tedy pobyt i pisywano co dnia masy kart z widokami. Ach tak... to jedno chybiło trochę... widoków nie było prawie żadnych skutkiem owych chmur pod nogami... Ale to nic... nie każdy może przecież sobie pozwolić na luksus pobytu w tak modnej instytucji, więc można sobie wobec znajomych radzić widokami... fantazyjnymi... od czegoż malarze hotelowi...

³wewnętrzny — dziś: wewnętrzny. [przypis edytorski]

⁴*apage satanas* (łac. z gr.) — idź precz, szatanie; daw. formuła egzorcyścyczna, przen. odmowa przyjęcia kuszącej propozycji. [przypis edytorski]

⁵ruta — tu: trasa; marszruta. [przypis edytorski]

⁶lift — winda. [przypis edytorski]

Skrajne organy lewicowe usiłowały z samego zaraz początku popsuć kurs „Idealek”, zniechęcić publiczność do kupowania tych walorów... pewnego zaś agenta pewien redaktor zrzucił z pewnych schodów, przy czym pewne, a znaczne pieniądze rozsypały się... itd. No, ale nie wszyscy redaktorowie⁷ byli tak nieokrzesani.

Pisma wymienionego gatunku wiele szkody nie robiły, jako ich klienci hotelu nie czytywali wcale. Nie przeszkadzało im to jednak pisać dalej w tym guście:

Wieprz kapitału pasie się ciągle na świętych stokach, pomyje oblewają dalej głazy zroszone krwią pokutników.

Inaczej myślał dyrektor zakładu, zarazem główny promotor i twórca pomysłu samego... podobnie jak on myśleli wszyscy, a jeśli byli zrazu innego zdania, to wygody, jakich zażywali w hotelu, troskliwa czuła opieka, rozpogadzały ich ponure myśli.

Pokoje tańsze mieściły się w gmachu wschodnim począwszy od suterenu, aż po czternaste piętro. Było ich jednak niewiele i temu, jak sądzą wszyscy dotąd, przypisać trzeba burzę, która wstrząsnęła dnia pewnego cichym, rajskim życiem kuracjuszków. Z tego to wielkiego salonu, oddziału P, około jedenastej przed południem rozbrzmiały fanfary rewolucji, o której wieści zachwiały giełdami całej Europy, powodując nagłą bessę „Idealek”, zawikłania finansowe, bankructwa wielu starych firm, kilkanaście samobójstw nawet.

Dyrektor, wróciwszy z wycieczki łodzią motorową po jeziorze Ekstazy, którą to wycieczkę urządzono dla pewnego bawiącego tu *incognito* króla... dyrektor, mówię, ujrzał w rzeczonym salonie dziwne zbiegowisko.

Pośrodku tłumy stał na stole człowiek ubrany w podartą, zniszczoną, białą szatę pielgrzymią, ową wstrętną rzecz, którą po pierwszych zaraz dniach pobytu w hotelu, zrzucali byli nawykli „Obłaskawieńczy”.

W rękach trzymał wzniesiony wysoko, naiwny kij wędrowny z kolcem na końcu. Wołał głosem wielkim, oczy jego jarzyły się fosforycznym blaskiem, a zwichrzone włosy w dziwacznych czubach piętrzyły się nad czołem.

Dokoła niego był tłok niemały. Pierwszy rząd stanowiły kobiety z najdroższych oddziałów... drugi i dalsze... służące hotelowe... potem stali ludzie wszelakich kondycji, a wreszcie... o nieba... gotowi jakby do drogi... do walki, zbrojni „Obłaskawieńczy”, pobierani w buntownicze szaty pielgrzymie.

Blady, na pół przytomny dyrektor spytał napotkanego płatniczego:

— Cóż to za jeden?

— Obcy. Dopiero co przybył. Nie było pokoju... i to go widać do takiej doprowadziło pasji.

— Durnie! Trzeba było umieścić gdziekolwiek!

— A gdzież? Zresztą któż mógł przeczuć?

— Idioty! Przeklęte idioty! — wrzasnął dyrektor. — Niechże was wszyscy diabli...

Począł się przepychać do mówcy, wołając:

— Jaśnie Wielmożny Panie!... Jest apartament... Są nawet dwa do wyboru!

— Cicho! Cicho! Milcz! Precz stąd! — rozległo się.

Tłum ogarnęła gorączka, a mówca grzmiał dalej, szalał jak burza wiosenna.

— Trupią jest, mówię wam, dusza człowieka czasów naszych... zgniła jest! Dziś zbudowany ołtarz z zakrzepłych w brylantowe głazy łez rozpaczy... w brudną jutro zamieni się kałużę. Łkajmy, że błotem jest dusza nasza... łkajmy, że szyderczym szaleństwem jest tęsknota nasza, że świętości imienia pomyśleć nam nie wolno... płaczmy!

— Pozachmurzały nam się szczyty wszystkie, bo mgły lepkie obiegły serca, iż nie biją jak dawniej.

— Nie do WIELKIEGO SZCZYTU, nie do świątyni złotej, gdzie ŚWIĘTE ŚWIĘTYCH... wyciągają się ręce nasze... ale do chimery zmysłów, co kształt jeno NAJWYŻSZEGO bluźnierczo przybrałszy, wabi mirażem zbrodniczym.

— Widome się stały zbrodnie nasze, przeszły pożądań i skrywanych morderstw formy i oto panoszą się teraz bezkarnie, połyskując złotem i adamaszkiem.

⁷redaktorowie — dziś: redaktorzy. [przypis edytorski]

— Dziwię się, że ogień dotąd nie pożarł tych murów, jak mury Sodomy pożarł i skruszył na proch.

— Dziwię się, że oto stoimy wszyscy w tym salonie, którego fundamenty depcą zbrodniczo świętą skałę, której czoło jeno i usta konającego z mąk wędrówki pielgrzyma dotykały od wieków.

— Dziwię się, że jesteśmy tu wszyscy tak liczni, a tak niepotrzebni, gdy połowie należy się znajdować w cyrku albo w menażerii.

— Dziwię się, że widzę ot tu tego człowieka, zwanego dyrektorem, gdy powinien on być ciałem w podziemnym lochu więziennym, a duszą na mękach wstydu i wyrzutów sumienia.

— Widziałem u progów miejsca NAJWYŻSZEGO trędowatych i obłąkanych, a byli oni, gdzie ich BÓG postawił... ale zaprawdę... połowę z was moi bracia wwiódł tu szatan po to jeno, byście wrychle⁸ spadli w bezdeń sromoty... za to, iżście się ośmielili profanować nieznane, święte.

— Duszy mi żal człowieka czasów moich, nie świętej góry.

— Czyż może człowiek ubliżyć BOGU?

— Myśl taka sama śmieszną jest i głupią.

— Duszy mi żal człowieka moich czasów, bo ją kocham!

— Kochani ją i chcę, by wielką była!

— Zwiększcie lot dusz waszych!

— Skrzydła rozpostrzyjcie na wichry... wołam!

— Nie bójcie się szczytów skalnych... aniołami być niech się wam śni! Potężne, wielkie sny o mocy chcę, byście śnili!

— A czasu jawy, pręćcie ramiona, sięgajcie JUTRA., sięgajcie jeno ciągle... ciągle... a piórami ręce porosną długimi, od wiania tych dalekich, tych wyżynnych wichrów.

— Orłowie tak się skrzydeł doczekali i aniołowie także.

— Opuśćmy ziemię! Pierwszy to krok do nieba! I w mocy leży człowieka najslabszego! Opuśćmy ziemię!

— Opuśćmy ziemię! — zawrzasnął tłum.

— Tak. Opuśćmy ziemię z jej nędzą, jej małością małpią, skłonnością robienia błazństwami wszystkiego, co wielkie, święte, godne szacunku i czci. Obalmy przybytki hańby, powalmy Bastylie głupoty i żądz podziemnych, skrytych, bo podłych. Niech przepadną!

— Niech przepadną! — zahuczało wokoło.

— W gruzach niech legnie Sodoma!

— W gruzach niech legnie!

— Inaczej nie sięgniemy skrzydłami szczytu!

— Nie sięgniemy!

— BÓG się nam zaćmi!

— Aaaaach!

— Poginiemy marnie i potomność nie znajdzie na ziemi, ani niebie imion naszych, ani dzieł naszych.

— Aaaaach!

— Precz z przybytkiem zbrodni!

— Niech przepada!!!

Tłum wrzał, kołysał się jak lawa dyszącego wybuchem wulkanu. Na stół wyskoczył drugi mówca.

— Oto człowiek przez BOGA posłany — wrzeszczał. — Patrzcie na jego twarz! Czyż nie mówi o nim Pismo:

Powstanie pośród was prorok, a twarz jego jako księżyc czerwony od wichru jutra! A twarz jego miedziana od zórz dni, co idą... Mówię wam zaprawdę... Idźcie, gdziekolwiek powiedzie...!

— Nawet na szczyt! Nawet na śmierć! — wołał pierwszy głosiciel nowej, mocno apokryficznej ewangelii.

— Nawet na śmierć! — ryczał tłum.

⁸wrychle — rychło, szybko. [przypis edytorski]

- Do świątyni! Do świątyni!
- BÓG się nam zaćmił!
- Obalmy przybytek hańby.
- Niech przepada!

Wyznawca proroka, uniesiony szałem, cytujący fałszywie, choć z wiarą, wyrwał komuś stojącemu w pobliżu gruby, sękaty kij pielgrzymi, zamachnął się potężnie i cisnął, jakby maczugą w wielkie, weneckie lustro, wiszące na głównej ścianie salonu.

Rozprysnęło się na tysiąc kawałków.

Wulkan wybuchnął. Zawirowało, huk się uczynił ogromny, a na przedzie, siejąc zniszczenie, pijany entuzjazmem szedł wyznawca.

Daremnie sam mistrz wyciągał ręce, daremnie wołał.

— Niech przepada Sodoma! — wył tłum, nieuznający przenośni, a w powietrzu wiorowały stoliki marmurowe, krzesła, obrazy... tysiąc rąk darło, tysiąc gardel wyło:

— Niech przepada! Niech przepada!

Komunikacja z dołem od pierwszej zaraz chwili ustała, snadź⁹ przerwano liny *liftu*, przecięto druty telefonów. Nie podobnym było dowołać się telegrafem Marconiego posterunku żandarmerii. A może dobrze słyszano tam, na dole, a tylko bano się... albo też jakiś pomysłowy buntownik puszczał fałszywe depesze.

Cóż mówić o chaosie, cóż o stratach! Rozszalały, w trzech czwartych „wykwintny” tłum, hulał po całym nieszczęsnym hotelu, demolując, pałac, stając dęba...

Dyrektorowi los nastreczył wygodne względnie schronisko. Wpadł on biedak, nie myśląc, co czyni, do szafy z paramentami kościelnymi, w kaplicy oddziału C, gdzie znalazły się też dwie flaszki mszalnego wina.

Dzięki temu nie umarł z głodu i strachu i doczekał się ukojenia umysłów.

Nastąpiło ono po odejściu przywódcy buntowników na czele garstki pielgrzymów, którzy pod wodzą „Wyznawcy”, utworzywszy legion „rycerzy czystego serca”, poszli ku szczytowi.

Wylazł dnia onego dyrektor i zasiadł sędzić winnych, przyjmować potem do łask na powrót... a jednocześnie sam był sądzony przez radę nadzorczą... besztany... skazywany... no i wreszcie na powrót do łask przyjęty... gdy kilka wpływowych dzienników zamieściło wyjaśnienie tej treści, iż wszyscy nabrali przekonania, że rewolucja pałacowa była dziełem wariata albo „przewrotowca”.

Powiększono tylko liczbę tańszych pokoi, dobudowano dwa nowe pawilony R i S, aby zadosyć¹⁰ uczynić „duchowi czasu”, który się pono tego gwałtownie domagał. Bardzo słusznie. Z przeciwności człowiek rozsądny powinien wyciągać naukę.

Dzień był szary, mglisty, gęste chmury zlewały na zboczach góry, nie było nic widać i tylko paru amatorów robiło zdjęcia, reszta gości pochowała się po pokojach.

Dyrektor, kwaśny, komponował właśnie jeden z wielu, wielu już wysłanych po katastrofie listów, gdy mu lokaj dyżurny zameldował:

— Pątnik. Prosi o audiencję natychmiast.

— Skąd przyszedł? Z dołu czy z góry? — spytał.

— Z góry.

— Hm! Przypadek groźniejszy. Dobrze. Herbata... koniak... pokój oddział A... Prosić do mnie. Tutaj... podasz.

Lokaj znikł. Po chwili w progu gabinetu zjawił się człowiek szary jakiś, jak mgła na dworze, ponury, o zaciśniętych wargach, ubrany w ongiś białą, pielgrzymią suknię.

Dyrektor podbiegł na powitanie.

— Aaaaaa, jakże mi miło! — począł od razu. — Pan... pan... doprawdy, że zdaje mi się... istotnie... czyżbym się mylił... z oddziału „rycerzy czystego serca”... wszak nie inaczej. Oooo znajdzie łaskawy pan kolegów... kilku... kilku. Właśnie dopiero wczoraj... Jakże pożałowania godne było całe to niemiłe zajście... Ale dzięki Bogu... minęło. Co... wszak pokoiki? Już rozporządziłem. Sądzę, że oddziałek A, na początek... dla odpocznienia po trudach, nabrania sił... Może by też kąpiel słoneczną?

⁹snadź (daw.) — widocznie, prawdopodobnie. [przypis edytorski]

¹⁰zadosyć — dziś: zadość. [przypis edytorski]

— Dziękuję panu! Ale czy mnie pan poznajesz? Nie zdaje mi się... Jestem przywódcą legionu... byłego legionu...

Dyrektor zerwał się na równe nogi.

Przybyły chwycił go za rękę, którą już wyciągnął w stronę telefonu.

— Moment jeden — zawołał. — Jedna chwila! Przychodzę w interesie!... Posłuchaj pan, a potem zrobisz, co zechcesz...

— Co za bezczelność! Co za straszna bezczelność! — bełkotał przerażony i ogłupiały jednocześnie dyrektor — Toż to pan rozbiliś... pan pierwszy... wielkie... wielkie lustro weneckie... Pan jesteś... rozbójnik! Pan... pan... ja.. panu... ja... — dławił się, a ręka szukała wciąż aparatu.

— Na miłość boską! Uspokój się pan, panie dyrektorze! — prosił przybyły. — Moment tylko! Pytanie... Oczywiście... przez to samo, że tu jestem, potępiam... żałuję wszystkiego, co miało miejsce. Moja obecność tu to rodzaj ekspiacji... a rad bym, by także była zadośćuczynieniem dla pana... któryś tyle... tyle... Posłuchaj pan. Potępiam jak najsurowiej tego samozwańczego proroka, który nas wszystkich... wszystkich... tak obalamucił... *ça va sans dire*¹¹... A teraz do rzeczy:

— Cóż się z nim stało? — spytał, oprzytomniawszy trochę, dyrektor.

— Bo ja też wiem! Zostawił nas, po bezskutecznym namawianiu do dalszej wycieczki na szczyt nieistniejący... no... i poszedł sobie! Niepodobna, by żył dotąd...

— Dzięki Bogu! — odsapnął dyrektor. — Odprawimy jutro piętnaście mszy dziękczynnych... za pomyślność naszego zakładu... uff... To dobrze!

— Przystępuję do rzeczy. Otóż, walęśając się samotny po górze zaszedłem do przedudnej roztoki utworzonej przez odpływy jeziora Ekstazy. Nie mam dość słów, by opisać to miejsce. W tych oto, naprędce porobionych notatkach znajdziesz pan szczegóły, teraz zwrócę tylko na to i owo uwagę pańską. Wszak nie zaprzeczy pan, że „Hotel pod Ideałem” ma te i owe braki.

— Cóż znowu! Mój panie! Taką to skrucha?

— Momencik! Zamierzam coś zgola innego jak wówczas... Otóż jedną z głównych rzeczy, na którą się już nieraz uskarżały dzienniki, jest nadmiar mgieł i chmur, tak że o widoku stąd właściwie nie ma i mowy. Druga rzecz to wiatry wyżynne. Otóż w mojej roztoce... Ach... i po cóż mówić... Sądzę, że zechcesz pan przestudiować te oto notatki.

Wyjął plik papierów.

— Pobieźnie to, jak pan widzi naszkicowane, ale zawsze daję o rzeczy niejakię pojęcie. Proszę, spojrzuj pan.

— Wszystko to dobrze — rzekł uspokojony już dyrektor. — Nie pojmuję tylko, po co mi pan to wszystko mówisz? Cóż pan zamierzasz robić w tej roztoce?

— Co? Ależ oczywiście hotel!

— Ho... ho... pan?

— My... my... rozumiesz pan drogi dyrektorze... my! Mam już nazwę. Tak. Nasz hotel będzie się zwał:

HOTEL CZYSTEGO SERCA

Dyrektor otworzył szeroko oczy. Patrzył na swego gościa zrazu, jakby go podejrzewał o niecne jakieś, na nowych apokryfach oparte zamiary, ale po chwili, na widok tej dobrodusznej, pełnej prostoty twarzy, namyślił się inaczej i z lekkim westchnieniem pochylił się nad rozłożonymi na stole notatkami.

W tej chwili wszedł lokaj. Niósł na srebrnej tacy zamówiony posiłek. Na widok pracujących z zapalem, zawahał się. Postawił na bocznym stolczku zastawę i rzekł:

— Proszę Jaśnie Pana Dyrektora! Pan kasjer generalny pyta, czy mógłby się widzieć. Sprawa pilna... nie może czekać audiencji. Czeka w westybulu.

— Ha?... C... Co?...

— Pan kasjer generalny...

— Dobrze... dobrze... nie... nie... nie! Potem... potem... Nie mam teraz czasu...

¹¹*ça va sans dire* (fr.) — bez dwóch zdań; ewidentnie; oczywiście. [przypis edytorski]

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/mirandola-tropy-hotel-pod-idealem>

Tekst opracowany na podstawie: Franciszek Mirandola, Tropy, Nakładem czasopisma „Maski”, Skład główny w księgarni I. Czerneckiego w Krakowie, Kraków 1919

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Agnieszka Żak, Aleksandra Sekuła, Paulina Choromańska.

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.